

Maria Kuncewiczowa: Burmistrzować czy malować?

Kiedy pstrąg raduje się okolicą, otworzywszy buzię, łapią go na wędkę i nic z tego nie wynika oprócz pstrąga z wody. Natomiast kiedy uczyni to sam król, budują mu zamek, sprowadzają kurtyzanę, z czego wynika romans historyczny i profit dla artyzmu.

Na każdej wystawie obrazów są widoki Kazimierza: Rynek, fara, klasztor, rzeka, krzywe domki. Na jednych obrazach studnia stoi pośrodku Rynku, na in nich z boku. Jedni malarze traktują miasteczko z namaszczeniem, starannie wyrysowują architekturę, dbają o autentyczną proporcję pomiędzy bryłami, o wiarygodny kolor; inni zabawiają się jak kupą klocków: wszystkie kościoły zgarniają na jedną stronę, charakterystyczne kamienice dowolnie przetasowują, rzecze każą płynąć na wspak. Często zdarza się, że wpuszczają między sędziwe mury groteskę. Groteska wykrzywia fasady, rozmiata okna, rzuca dachy na drzewa, drzewa na przechodniów, przechodniom nadaje pozór komicznych lub niesamowitych widziadeł. Są jeszcze inni malarze, dla których miasteczko jest pretekstem do rozpętania widoków wewnętrznych, jakichś wizji zapoczątkowanych we śnie czy w dzieciństwie. A dlatego tu przyjeżdżają, że tu łatwiej niż gdzie indziej śnić na jawie, zapomnieć o historii i o geografii, zwłaszcza o polityce. Kaliber spraw kazimierskich jest taki nikły, że wszystko obraca się wśród cyfr i konkurencji sprzed wieku. Wystarczy zaniechać gazet, a

współczesność przestanie istnieć; pejzaż osobisty, prywatny kraj, ojczyzna wewnętrzna może triumfować. Maluje więc artysta siebie: rzeki swoich pragnień, ludzi swego serca. I podpisuje: Kazimierz.

Czasami mieszkaniec miasteczka odwiedzi stolicę; gnany ciekawością przyjdzie na wystawę obrazów. Staje wtenczas przed płótnami, mającymi wyobrażać jego siedzibę – bezradny. Jakiś ryzykowny balkonik, szyld umiany na pamięć mówią mu, że – o, tu, zaraz za rogiem powinien być sklepik i w ogóle rzecz jest niby znajoma. Tymczasem kolor nieba, kształt kamienic przeczą znajomości, a krzyż ustawiony na miejscu budki z wodą sodową urąga prawdzie. Przybysz zżyma się, odchodzi i podchodzi do obrazu, mruży oczy, wreszcie popada w zwątpienie: nie wiadomo, czy to figle, czy to tajemnica. Śmiać się? Czy odczyniać uroki?

Przeczytaj również: Parafrazy i pastisze w sztuce „łukaszowców”

Jeżeli malarz nic nie przeinaczył, sama istota sprawy budzi zastrzeżenia. Bo i cóż właściwie w tym wszystkim jest ciekawego, żeby to aż malować i pokazywać za pieniądze? Stołeczna publiczność lubi oglądać widoki miasteczka. Jej sentyment do prowincji składa się z kultu Dickensa, Lama czy Czechowa i z triumfu nad ubogimi krewnymi. Ale rozterka prowincjonalisty w obliczu malarskich wizerunków płynie ze wstydu za własny los – taki mizerny. I za ten cudzy los artysty – taki nedorzeczny.

Kto i kiedy odkrył Kazimierz dla sztuki? Przez długie stulecia rosły trzmieliny na wysokich brzegach nad Wisłą, po jarach wśród dębów, brzoź i białodrzewi brykały sobie kozły, w wodzie uganiały się pstrągi, a

na polu w ciężkim znoju utykali kmiecie. I bardzo to wszystko było ładne, tylko że nikt tam nie przychodził, co by tę piękność zobaczył. Bo ani trzmieliny, ani kozły, ani kmiecie – nikt nie był ciekaw piękności. Pamiętajmy, że mowa o czasie, w którym pięknnością interesowali się tylko królowie. Więc jednak któregoś dnia przygalopował może król Kazimierz na bułanym mierzynku? Zdarł konia, zatrzymał się na skraju spadzistej góry, spojrzął w lewo na dolinę całą żółtą, liliową i zieloną od łąk, spojrzął przed się na sosny, ogarnięte zachodem, w prawo na pozwijane bogato niebieskie skręty rzeki – i huknął na pachółków, żeby byli cicho. Król Kazimierz – powiedzmy – zachwycił się pejzażem.

Od tego chyba się wszystko zaczęło. Kiedy pstrąg raduje się okolicą, otworzywszy buzię, łapią go na wędkę i nic z tego nie wynika oprócz pstrąga z wody. Natomiast kiedy uczyni to sam król, budują mu zamek, sprowadzają kurtyzanę, z czego wynika romans historyczny i profit dla artyzmu.

W ciągu wieków jagiellońskich, pseudoklasycznych, romantycznych i innych coraz bliższych – nastąpiły, sądzą, pod basztą kazimierską nowe zachwyty nad pejzażem i nowe romanse. Oto na przykład stary Wyczół, wówczas młodszy, przydyrdał kiedyś od strony Puław na miejsce królewskiego wypadku i zaraz usiadł i zaczął – wedle nałogu – rysować fasadki domów, gdzie dawniej mieszkali dworscy intryganci albo kupcy z bogaceni na fochach Estery.

Za nim pociągnęli inni. Żeromski zachwycił się drzewami, Szalom Asz – synagogą. Ale literaci to kameralne dziwadła, niezdolne narzucić się plein-airowi. Łypną okiem na kolor, postrzygą uchem na plotki – biegną zamknąć się na dziesięć spustów, żeby im nikt nie przeszkadzał

marnować atramentu. Za to malarze – ho, ho! Taki siada ze swoim kramem na samym środku Rynku. Kozy mu robią za paletę, po dwie Estery wiszą na każdym ramieniu, kmiotek urąga, a malarz publicznie macha pędzlem i jeszcze strojami przydaje jaskrawości swojemu rzemiosłu. Władysław Skoczylas w jakichże zabójczych pasiastych kurteczkach tutaj paradował! Spod jakiego monstre-kapelusza błyskał szelmowskim uśmiechem!

Gauguin na pewno nie widział ciemniejszej Tahitianki niż Teresa Roszkowska – wamp kazimierskiej malarii. Aleksander Żyw chadzał tu w turbanie. Edzio John latami kąpał się i sypiał w baskijskim berecie. Tadeusz Pruszkowski – patron bractwa Łukaszów – chętnie przywdziewał sombrero. Egzotyzm, rezerwat dzikości – taki jest program malarzy dla miasteczka. W swoim *Lecie* Rudnicki brzydko im wymyśla. Jest w tym pewna racja: malarze nie są entuzjastami higieny, przyjaciółmi bielonych płotów i asfaltowych podwórek. Można by rzec: nie są przyjaciółmi ludzkości. W *Dwóch księżycach* opisane jest nieporozumienie między siostrzeńcem pejzażystą a ciotką społecznicą. Paweł malował dziewczynkę pluskającą się w ścieku na tle zmurszałych budek i śmietnika. Malował wniebowzięty. Gdy go na tym przyłapała ciotka, wynikły problemy. Czy cuchnąca struga jest miejscem stosownym dla zabawy dziecka? Czy godnym utrwalenia na płótnie? Tymczasem malarz wykończył obraz i zawiesił na wystawie w stolicy. Jego przyjaciółka wróciła z egzotycznej podróży i przed tym właśnie obrazem, wyobrażającym nędzę, westchnęła: „Tam chciałabym być kiedyś z tobą. W tym szczęśliwym kraju”. Po blaskach Rio zatęskniła do kraju sztuki.

Przeczytaj również: Bractwo św. Łukasza. Przyczyny nieobecności

Czyż więc są malarze nieprzyjaciółmi ludzkości, skoro Paweł z błotnistej rzeczułki zaczerpnął wizję szczęścia? Nie tylko obdarzył nim chudą istotkę, nimfę kazimierskich rynsztoków, dając jej słońce do zabawy, ale i rozmarzył damę znudzoną podróżami, ukazując jej poezję koślawego zaułka.

Kazimierz ucieka... Ludzie niestarzy pamiętają, jak znikwały i rozpadały się cegła po cegle kamienice na Senatorskiej, aż w renesansowej uliczce powstały szczyrby, ziejące śmieciem, zaklepane byle jakimi budkami.

Spichrze pochłania woda i zielsko. Na tle bukowych wzgórz rysują się jeszcze strzeliste attyki, ale murów za nimi coraz mniej. Nawet powroźnik trapista, który ulepił sobie chatkę wewnątrz jednej takiej kalekiej budowli, wyniósł się tego roku; za gęsto padały mu na głowę kamienie. Mieszczanie pomagają prawiecznym dębom do śmierci: chodzi o trochę próchna na opał. Kościół Świętej Anny zamknięty; nie można się w nim modlić, nie narażając życia; coraz to jakiś dom, jakaś galeryjka staje się mitem, bywalcy wołają: „Gdzie jest ganek piekarzy? Gdzie rynna czerwonych kotów?”.

Kazimierz znika, coraz bardziej uchodzi w noc. Rudery rozpościerają nad snem swoich ludzi sklepienia księżycowe, ogradzają go ścianami srebra. Dziurawe w dzień, świszczące od przeciągów, kruche od zgnilizny w nocy, krzepną i wiernie stróżują, żeby sny mogły się prześnić do końca.

Ale przed świtem księżyc odlatuje, rzeka zaczyna wzdychać, bluzgać, nietoperze zwisają u stropu – i pałace znów zamieniają się w rudery. Na próg domu Pod Świętym Krzysztofem burmistrz wychodzi oglądać wyrwy w bruku, rozmyte ulewą wąwozy, zwane ulicami, szkarpy, które by należało stemplować... Pilnie przymierza swój roczny budżet do potrzeb historycznego miasteczka – i drapie się za uchem.

Za to malarze – ziewając – już dygują kasety i stołki składane. Oni nie boją się bezwstydu ruin i jawności rozkładu. Oni nie lubią malować ani księżycowych złudzeń, ani porządnie tynkowanych domów. Spotykają się i patrzą koso na siebie: burmistrz i malarze.

Burmistrzować czy malować? – to będzie spór na jutro. Na razie trzeba ratować miasteczko.

Maria Kuncewiczowa

„Kurier Bałtycki” 1938

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [503]:
„Łukaszowcy. Malarze pamięci”**

Przedruk za: Maria Kuncewiczowa, *Dwa księżycy*, wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025. Publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy.